
W „Tygodniku Powszechnym” (numer 29/2024) **Dariusz Kosiński** tak pisze o zmarłym Jerzym Stuhrze:

Jerzy Stuhr grywał role podniosłe, ale upodobał sobie „wyższą komikę”. Bez patosu odkrywał i odstaniał powagę i głębię spraw, którymi trzeba się zajmować w zwykłym życiu. Dlatego jego twarz to wszystkie nasze twarze.

Śmierć aktora? Cóż po nim zostaje? Wspomnienia silnych niegdyś wrażeń tych, którzy mieli szczęście doświadczyć jego sztuki? Recenzje? Nagrania i filmy, które mogą nawet całkiem skutecznie wywołać iluzję, że wciąż mamy do czynienia z żywym oddziaływaniem artysty.

Alc czy na pewno jesteśmy w stanie zrozumieć, czego doświadczały widzowie, dla których te obrazy były tworzone, z których świata wynikały?

To też wiadomo od dawna: sztuka aktorska – szczególnie teatralna – jak żadna inna należy do swojej teraźniejszości, więc jej wielkość jest szczególnie trudna do zachowania. Zmieniające się kody społeczne, sposoby używania ciała i języka, wyobrażenia zbiorowe, dotyczące zwłaszcza tego, co prawdziwe i naturalne, a co nie, sprawiają, że rola, która wczoraj wydawała się „życiem samym”, staje się manierą i razi sztucznością, a efekt wzbudzający entuzjazm dziadków – przez wnuków przyjmowany jest drwiącym śmiechem.

Co zostanie po zmarłym w środku upalnego lata Jerzym Stuhrze?

Ośła cień

W jednym z wywiadów przypominanych w pośmiertnych felietonach rozbawiony aktor opowiadał, że jego „koleżca rektorzy”, z którymi spotykał się, kierując ówczesną PWST w Krakowie, mieli poważny problem, by wyrazić swój podziw dla jednej z jego najbardziej znanych i prawdziwie mistrzowskich kreacji – Ośła w „Shreku”. Stuhr śmiał się, że nie mogła poważnym profesorem przejść przez gardło nazwa wiązana z głupotą i niskimi instynktami, więc gratulowali mu „tego zwierzątka”.

Anegdota znamienita i znamienne zakłopotanie. Bo przecież na pytanie, co pozostanie po Jerzym Stuhrze, odpowiedź niemal natychmiastowa i dla wielu oczywista jest właśnie taka: Osiół w „Shreku”. Albo „Śpiewać każdy może” w Opolu z 1977 roku. Albo „Żeby z gołą babą nie można”, „Kobieta mnie bije” i „Ciemność widzieć” z „Seksmisji”. Albo „Widziałam orła cień” z „Kilera”. Albo – niech mi jeszcze będzie wolno dodać nasz rodzinny kultowy tekst z „Mulan” – „Smoka nie jaszczurkę!”.

Mówić, że coś takiego zostało po wielkim aktorze – dziwnie i niezręcznie, bo odszedł

artysta, a nam tu jakieś śmichy-chichy w głowach. Ale tak! Tak przecież jest – to Jerzy Stuhr sprawił, że polski Osiół ze „Shreka” jest arcydziełem wywołującym natychmiast uśmiech. Że kwestie Maksa czy komisarza Ryby już nigdy nie będą brzmieć inaczej i zawsze będą słyszane tak, jak on je powiedział. Raz na zawsze – nieodwołalnie. Tak jak ta piosenka opolska: wielu próbowało, ale nikt nigdy nie zdołał tego powtórzyć i zrobić lepiej.

Arcydzieło – wiadomo – jest w swej doskonałości niepodrabialne i nieodwoływalne. Jedyne. Jerzy Stuhr tworzył arcydzieła sztuki aktorskiej w obszarze, który zwykliśmy uważać za jakoś niższy i niegodny tego, by pisać o nim w pośmiertnych wspomnieniach, akademickich analizach i encyklopedycznych hasłach. Ale przecież to właśnie tu, w tym zakresie dowodził swojego mistrzostwa najpewniej i najpełniej. [...]

Michał Walkiewicz tak oto opisuje nowe polskie filmy kryminalno-komediowe, które zagościły na ekranach kin i telewizorów („Tygodnik Powszechny”, numer 26/2024):

Pierwsza minuta seans, druga linijka dialogu: „Wolisz zginąć od strzału w głowę czy od strzału w odby?”.

To mój rekord, jeśli chodzi o gorzką auto-refleksję, że tylko głupiec robi wciąż to samo i oczekuje innych rezultatów.

Poszedłem na uroczystą premierę filmu „Wieczór kawalerski” zaintrygowany hasłem promocyjnym: „Kto dotrwa do rana?”. Sam ledwie dotrwałem do napisów końcowych. I to jedynie z szacunku dla ekipy filmowej, która ze sceny cementowała najbardziej kuriozalne kryterium oceny sztuki, to jest ilość włożonej w niej pracy. Cios poniżej pasa, ale niech im będzie. Pretensje mogą mieć tylko do siebie. Jeśli bowiem współczesne polskie komedie czegoś mnie nauczyły, to przede wszystkim tego, że nie ma takiego dna, w które nie dałoby się zapukać od spodu.

Pytanie, kto puka tym razem, nie ma w zasadzie znaczenia. Z kronikarskiego obowiązku wspomnę, że jest to debiutujący reżyser i scenarzysta Szymon Gonera – choć jego równie udana „Dziewczyna influencera” weszła do kin wcześniej, nominalnie jest drugim filmem. Ważniejsza od samego „Wieczoru kawalerskiego” wydaje się jednak tradycja, w którą film się wpisuje; typy bohaterów zaludniających ekranową rzeczywistość; socjologiczna refleksja, z którą zostajemy po seansie. Z wszystkich tych czarujących cwaniaków, elokwentnych gangsterów, filozofujących striptizerek i cynicznych menadżerów średniego szczebla układa się nowy poczet książąt Polski. Wspólnie napędzają nasz nowy gatunek narodowy, czyli komedię patologiczno-

aspiracyjną. To wielka autotematyczna opowieść o Polsce w pościgu za Ameryką.

Albo o tym, że wynalezienie kamery mogło być błędem.

Na bank się nie uda

Młodszy księgowy i jego koleżanka, korporacyjna harpia z bilonem zamiast mózgu, kradną sto milionów złotych. Droga do rajku jest wyboista – pieniądze trzeba wyprać i ukryć, a sąd udobruchać roczną odsiadką. Po drugiej stronie Wisły sfrustrowani pracownicy Banku Narodowego też podprowadzają z kasy sto milionów, tyle że euro. Jako że przykrywką ich skoku jest pandemiczny chaos, nadają sobie adekwatne ksywki: „Wirus”, „Sars” i „Covida” (szkoda, że nie „Zeitgeist”). Na Podhalu kolejna kradzież – z policyjnego depozytu znika 120 kilogramów marihuany, jacyś żartownisie podmienili ją na ziołową herbatkę. To jest Polska. Wszyscy kradną. [...]

Z grubsza wygląda to tak: bohater, najczęściej otoczony bandą kumpli, usychający w martwym związku, albo na mocy klasycznej komediowej kliszy wzięty za kogoś innego, postanawia żyć pełną piersią. W konsekwencji wchodzi na kurs kolizyjny z typami spod ciemnej gwiazdy i po szerokiej, narracyjnej pętelce wraca do nudnego, bezpiecznego życia. A podczas gdy chłopaki zajmują się okradaniem bogatych i pogardzaniem biednymi, bohaterki-czirliderki błąkają się po opłotkach fabuły.

Nerwowy, Wolf, Czarny... Pseudonimy gangsterów sugerują, że żarty się skończyły. Nic dziwnego, skoro w ich biblioteczkach znajdziemy wyłącznie literaturę minorowych nastrojów. Boss mafii z „Furiozy” Cypriana T. Olenckiego wiedzę o międzyludzkich relacjach czerpie z szekspirowskiego „Juliusza Cezara”. Płatny cyngiel-mizantrop z „Pitbulla. Niebezpiecznych kobiet” Patryka Vegi namiętnie cytuje Schopenhauera – wie doskonale, że „w życiu jest się skazanym albo na samotność, albo na pospolitość”. Z kolei bandzior z „Wieczoru kawalerskiego” lubi pogadać o psychologii Paula Ekmanie oraz jego teoriach ekspresji ruchowo-mimicznej.

Odpowiedź na pytanie, co łączy tak różne filmy i tak odległych pisarzy, jest oczywista. To przeświadczenie scenarzystów, że uszlachetnianie „kina rozrywkowego” można prowadzić po linii najmniejszego oporu. Że wystarczy zasygnalizować jakiejkolwiek ambicje, dorzucić kilka popkulturowych cytatów i zasłonić się frazą o „bezpretensjonalnej rozrywce”, by cała ta dresiarzka mitologia ułożyła się w jakąś niezawodną – artystycznie i finansowo – konwencję. Tyle że, mimo upływu lat, jakoś ułożyć się nie chce. [...]

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor prowadzący – **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębkowska, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarnowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Adam Lewandowski, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajka, Janusz Orlikowski, Stefan Rusin, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl